

1931

Rok VII. Wrzesień—Październik—Listopad Nr. 4.

MŁODA MYŚL

**Pismo Uczniowskiego Stowarzyszenia Spółdzielczego
„Bratnia Pomoc” przy Państwowych Seminarjach
Nauczycielskich w Białymstoku**

Cena prenumeraty: Rocznie 3 zł. 60 gr., półrocznie 2 zł., kwartalnie 1 zł. 20 gr.
Cena numeru w miejscu 40 gr., z przesyłką 50 gr.

TREŚĆ NUMERU:

- | | |
|---------------------------------------|--------------------------------------|
| 1. Sonet | Antoni J. Brukasz |
| 2. Już idą pierwsze dni jesieni | J. D. III m. |
| 3. Nasze wrażenie z wycieczki do Tatr | Kurs V męski. |
| 4. Przebudzenie (kartka z notatnika) | J. B. II ż. |
| 5. Spotkanie (z wycieczki) | Emil Radziszewski. |
| 6. O pieśni | B. Mikołajewska IV ż. |
| 7. Wspomnienie z wycieczki do Wilna | J. K. IV m. |
| 8. * | I. Kossakowska IV ż. |
| 9. Ostatnie ognisko obozowe. | „Głodomór” z zastępu
„Głodomorów” |
| 10. Z życia drużyn harcerskich | Irka Kossakowska. |
| 11. Krótkie wspomnienie | P. Fedoren k. V m. |
| 12. Melancholia (parodia) | Antoni J. Brukasz. |
| 13. * | " |
| 14. Krawat | Br. R-ki, III k. |
| 15. Wycinek z kroniki kursu IV m. | Br. Rogalski. |
| 16. Kronika | — |

Adres Redakcji i Administracji:

„Młoda Myśl” Państwowe Seminarjum Nauczycielskie w Białymstoku, № tel. 36.

Redaktor odpowiedzialny: **M. Czułajewska.**

Redaktor: **P. Popławski.**

Wiceredaktor: **St. Redzikówna.**

MŁODA MYŚL

Pismo Uczniowskiego Stowarzyszenia Spółdzielczego „Bratnia Pomoc” przy Państwowych Seminarjach Naucz. w Białymstoku

A. J. Brukasz.

Sonet.

Lubię sonetu trudną, misterną budowę.
Zda mi się, że mi kawał marmuru odkuto,
W którym swobodnie rzeźbić może moje dłuto
W rozmiarach wiecznie jednych kształty coraz nowe...

Tetmajer.

Sonet jest formą poetycką najbardziej rozpowszechnioną w całej literaturze świata cywilizowanego, formą, która po szeregu wieków swego istnienia nic nie straciła ze swojej wartości i aktualności, przeciwnie, przechodząc wszystkie kierunki literackie, pozostała prawie niezmieniona, nic nie straciła ze swojej oryginalności, a nawet udoskonaliła się, pozostawiając w historii literatury najdrogocenniejsze perły myśli i uczuć poetów tem droższe, że w tak małą i misteriąną formę zawarte.

Sonet był i jest uprawiany niemal przez wszystkich poetów całego świata. Jest coś w tej formie, co pociąga i przykuwa i każe myśli układać w złocistą mozaikę rymów, coś co każe uczucie dzielić na dwie części i zamynikać je w dwóch odłamach skarbnicy słowa.

Formę sonetu przekładało wielu poetów nad inne, nawet bardziej kunsztowne — i wielu z nich właśnie w sonecie podnosiło jego wyższość.

Niektórzy nawet narzekali na sonet . . . w sonecie — ale właśnie w sonecie, a nie innym utworze. Nas tu obchodzi jedynie sonet polski — o nim też będzie mowa.

Co do określenia formy sonetu — jest to zwrotka równowierszowa, licząca 14 wierszy, zbudowana z dwóch części.

Część pierwsza składa się z 2 zwrotek czterowierszowych, mających zasadniczo 2 rymy wspólne, w każdym

czterowierszu obejmowane — co dałoby się ująć we wzór literowy: *abba*, gdzie wiersz 1 rymuje z wierszem 4; wiersz 2 z 3.

Część druga składa się z 6 wierszy rozłożonych na dwie partie po 3 wiersze każda; czasami tworzy całość z 6 wierszy.

Rymy są rozłożone różnie i jest ich zasadniczo dwa. Kolejność wierszy sonetu jest następująca: część pierwsza, ośmiowierszowa (2 czterowiersze), po niej następuje część druga, sześciowierszowa (2 trójwiersze); przytem całość czterowierszowa następuje po sobie w pewnych odstępach. Ogólny wzór sonetu da się wyrazić następującym wzorem (rymy):

**a
b
b
a
a
b
b
a
a
b
a
a
b
a**

Sonet wchodzi w skład poezji lirycznej — a więc stąd łatwo odgadujemy już charakter tej formy. Więc przedewszystkiem — sonet jest przeznaczony na wyrażenie uczuć przeważnie w formie symbolu. Najczęstszy rodzaj sonetów — to sonety refleksyjne. Prócz tego są sonety opisowe albo abstrakcyjne.

Zwykle część pierwsza sonetu podaje nam opis przełożony nastawieniem poety, przyczynę, — część druga, to refleksje poety spowodowane treścią części pierwszej, przeprowadzenie, wynik.

W wiekowym rozwoju sonet przedstawia się bardzo ciekawie.

Wprowadzony przez Kochanowskiego (2 połowa w XVI, w Włoch), z biegiem wieków rozwija się nieustannie, dochodząc do doskonałości.

Pierwszym sonetem jest fraszka 92 z I tomu wydania jubileuszowego. Składa się ona z 14 wierszy, ale rymy są rozłożone inaczej niż w sonecie. Całość składa się z 5 części: 3 czterowierszowych i 2 jednowierszowych. Inna fraszka jest już bardziej zbliżona do sonetu; 2 czlonów czterowierszowe mają rymy jednakowe (*abba*); a część 6 wierszowa dzieli się na 2 grupy. Prawdziwym sonetem jest fraszka 102 tomu II, gdzie czterowiersze mają rymy jednakowe (*abba*) a w sześciowierszu są też tylko 2 rymy: *cd cd cc*.

Po Kochanowskim pisze sonety Szarzyński z małą zmianą wymów w sześciowierszu: *cd cd cc*.

Morsztyn rymów nie zmienia i pisze w wierszach jedenastozgłoskowych, jak poprzednicy. Wespazjan Kochowski nazwy sonetu używa w sześciowierszu pieśni.

Wiek XVIII nie przyniósł nic nowego. Sonet został niezmieniony — jedenastozgłoskowy, o 2 rymach wprowadzony przez Grabowieckiego. Przez cały wiek ten nikt nie pisał sonetów, a niektórzy nie wiedzieli, co to jest sonet, używając jednak tej nazwy (Minasowicz).

Formę sonetu używa dopiero Mickiewicz i Słowacki. Wiek XIX daje nam już potężny rozrost sonetu.

Mickiewicz wprowadza do niego swój ulubiony 13-zgłoskowiec [dzielony średniówką na dwie części; siedmio — i sześciu-zgłoskowe (7 + 6)]. Wszystkie sonety Mickiewicza są napisane w tym rytmie i mają oprócz dwóch jednakowy układ rymów części pierwszej (*abba*); część druga przedstawia wszystkie możliwe kombinacje.

Dwa sonety są tylko odmienne: „*Cisza morska*” i „*Burza*” te mają rymy: *abba, cddc, efg, efg* (część druga ma 3 rymy).

Oprócz tych inny jest sonet „*Widok gór ze stepów Kozłowa*” utrzymany cały w formie dialogu i z zakończeniem, po wierszu 14 — „*To Czatyrdah! Aa!*” Podobnie, w formie dialogu napisany, jest sonet: „*Droga nad przełęczą w Czufut-Kale*” [Mirza i Pielgrzym].

Słowacki zachowuje tradycyjny porządek rymów w części pierszej, w drugiej zmienia dowolnie.

Po Słowackim piszą sonety: Goszczyński Sew. w rytmie 11 i 8 zgłoskowym i Konopnicka.

Przesmycki (Miriam) w roku 1898 pisze sonet zbudowany z pięciozgłoskowców:

„*Echo piosenki
Ze strun mej liry,
Jak wonne myrry,
Mglą wstają dźwięki*”...

Lange napisał kunsztowny sonet 3 zgłoskowy, a Janowski daje jednozgłoskowy:

*) Szczegółowe określenie średniówki i wierszy męskich i żeńskich, czytelnicy znajdą w działach Wójcickiego — Stylistyka, Rytmika, Poetyka i innych.

Hej! gdzie kres	Pełni żądz —	W bój!	Drwij
Wichrów — burz?	Blaski słońc —	Z czuć!	Z burz,
Wonne róż	Poprzez mgły,	Rzuć	Rwij
Z krwi i łez?	Gromy skry	Zdrój	Z zórz,
W ogniu zórz	Idziem drząc	Skuj	Żyj,
W zorzy dusz	W jutra sny.	Chuć!	Twórz,
Mroku bies	„Sonata”	Budź!	„Pobudka”
	Lange.	Stój:	Jaakowski

Naszych poetów w skracaniu sonetów wyściągnął tylko jeden, Francuz, Juliusz de Reseguir, który już w roku 1830 stworzył sonet z jednogłoskowców.

Tetmajer lubi kunsztowną formę sonetu i pisze o niej w sonecie:

„Lubię sonetu trudną, misterną budowę...”

U Jana Kasprowicza sonet budową odbiega daleko od poprzednich.

Znamiennym jest jeden z sonetów, ośmiogłoskowiec (3+5), w którym wiersz 8 i 14 mają rozmiar trzynastogłoskowca. Kasprowicz wprowadza też do sonetu nowe gatunki wierszy w równorytmicznych zwrotkach.

Jest nim 15 zgłoskowiec męski, tym wierszem jest napisany jeden sonet.

Dla przykładu tej rytmiki podaję jeden wiersz z „Bóg się rodzi:”

„Bóg się rodzi! // Moc truchleje, // co wołała // „ząb za ząb”
4 + 4 + 4 + 3' = 15!

Z sonetów Kasprowicza wyróżnia się jeden o niezwykłym doborze rymów, jest nim monolog Sity — „Sita”. Są w nim tylko 2 rymy męskie w rytmie 5+5'; nadto w wierszu 1, 4, 5 i 8 powtarzają się te same wyrażenia, z których pierwsze są jeszcze powtarzane w wierszu 11, a drugie w 14. Schemat rymów sonetu „Sita” jest następujący: abba, baab, abab.

Tadeusz Miciński naogół wyłamywał się z form tradycyjnych: ani jeden z jego sonetów nie ma wymów tak dobranych, jak tego forma ta wymaga; drugi czterowiersz ma zawsze rymy własne, niezależne od pierwszego.

Gustaw Daniłowski formy sonetu nie zmienia, tylko narzeka na nią, odzywając się w sonecie:

„Niechętnie w twojej formie kwiat swych myśli mieścię ...”

Władysław Orkan pisze sonet z wierszy trzynastogłoskowych ciekawego typu 5+3'±5, zaczynający się od słów:

„Onego czasu // przyszedł Mistrz // z górnej krainy”...
5 + 3' + 5 = 13.

Henryk Zbierzchowski umieszcza w Chimerze (Warszawskie pismo poetyckie) sonet zasługujący na uwagę, p.t. „Kamienny bóg”. W sonecie tym rażą wiersze 13 i 14 o zmęczonym rytmie 8±6 — gdy większość jest napisana w rytmie 7+7 i wyraźnie zaznacza się wiersz 2 w rytmie trzynastogłoskowym:

„W komicznej, ciemnej grocie, z bolesci skamieniały,
Przeżywam dni ostatnie mojego żywota...”

(7+7)=14 (7+6=13)

„Oto / wraca / w triumfie // jasny, / zadumany
Zwiastun / łąk kwietnych / zmartwych // wstały / w wonną /
[cisze;

Oto / znów wokół / żywego, // stojący / hymn ów / słysze,
W górze / łąka coś / radośnie, // jak ciche / organy...”

Sonet Wacława Wolskiego — „Ikar astralny” składa się z wierszy 6-cząstkowych, naśladujących heksametry (wiersze żeńskie — każda cząstka ma odpowiedni akcent).

„W cz'arnej kami'ennej m'asce, w lu'sce z zielo'nego zł'ota
W pełzam śpi'ący po gzymach cz'arnej sfink'sowej kat'edry
Na je'dną z wie'ż potw'ornych, co śnia jak pot'ężne c'edry,
Jak do m'agów — gwi'azd śl'epa, cz'arna, kami'enna łeskn'ota...”

Uw.: Przecinki nad zgłoskami oznaczają akcent; należy czytać, akcentując odpowiednie zgłoski, przez co uplastycznia się sześciocząstkową budową heksametru.

Podobną rytmikę odznacza się sonet Mariana Zborowskiego — „Poeta”, z tą tylko różnicą, że oprócz żeńskich są wiersze męskie.

Chcąc dać materiał do ćwiczeń nad polskim heksametrem (zaznaczam, że bardzo ciekawych) i ze względu na oryginalność i ciekawy temat, przytaczam go w całości:

W chwili, gdy siebie samego objąć chciał geniusz natury,
Ciebie zrodził, poeto! Od niego wywodzisz twój ród.
W sercu swem zemknął żywioły, twej myśli potężny dał rzut,
Większym cię czyniąc włodyką, niż ci, których zdobią [purpury.

Wiecznie ten sam, choć odmienny, jak obłok rzucony
[w lazury,
Błędne ściegasz gwiaździce, choć wiesz, że daremny to trud;
Znów niby leśne źródiska napój rzeźwiący i chłód
Wiecznym dajesz wędrowcom, co znają przepaście i góry.
W głab, jako morze, bogatą—we własną duszę wpatrzony,
Jesteś nurkiem i tonią—taki już cudny twój los.
Połów swój ludziom oddajesz, nie bacząc, co z nim uczynią;
W złoto li perłę oprawia, porzucą li skarb nieceniony—
Wielki bogaczu! ty wiesz, że zawsze jest pełen twój trzos,
Wiesz, że rozrzucone two serce jest Boga jedyną świątynią.
(„Poeta”).

Inny jego sonet „O zachodzie słońca” ma dwa rodzaje wierszy: 4' + 6 i 6' + 7:

„Odplywa słońca lódz // na miękkiej fali chmur, (6' ± 6')
Z wilgotnej ziemi ust // błękitne płyną wonie; (6' + 7)

Jan Lemański w najnowszym zbiorze sonetów „W kraju słońca” nieraz nie zachowuje średników, ale przytem dba o prawidłowe rozłożenie akcentów. W sonecie V rozpoczyna zawsze drugi człon wiersza 9 zgłoskowego (4+5) od zgłoski akcentowanej:

„Gdzie mirt zimą kwiat swój odchyla,
Gdzie się jedwa—biście dzień przedzie...”

Staff napisał „Sonet szalony” treścią niezbyt zgodną z formą sonetu—jak nam już wiadomo—misterną i obmyśloną. Antoni Słonimski formy nie zmienia, pisze w wierszach jednostajnych, w rytmie 13, lub 10 zgł.; 2 rymy powtarzają się w całym utworze. Z ciekawszym jego sonetów jest sonet o sonecie:

„Słowa wolno płynące, które się kojarzą,
Tworzą cztery w sonecie początkowo wiersze.
Uwertura są cicha, zanim fale szersze
Nie wypłyną pod rymu baczną. mocną strażą.
Gdy w następnej już zwrotce obraz jasną twarzą
Błyska, strojny w kolory, w akcenty najszczersze
Wraz ostatnie, w sonecie najważniejsze wiersze
Antytezą wytwarzającą, wdzięczny obraz darzą...”

Jest to dostateczne określenie sonetu—zaznaczające jego charakter. Powyższe przykłady dają nam pewne wyobrażenie o rozwoju sonetu. Sonet doskonali się, poczynając od nieudolnych form.

Poprzez wiek XVII (drobne zmiany) i XVIII (martwy punkt) dochodzi do silnego zainteresowania w w. XIX. Zapoczątkowuje Mickiewicz, za nim cała plejada różnych poetów pracuje nad udoskonaleniem sonetu. Okres „Młodej Polski” odbiega się i na sonecie. Z jednostajnych 13-zgł. zmienia się na rytm inny—bardziej żywego lub wolny. Okres ten odznacza się intensywnością w rozkwitaniu odmian sonetu; teraz mamy cały szereg sonetów, w różnych rytmach i kunsztownie przeplatanych rymach. Młode pokolenie zmieniło nieco formę sonetu, udoskonało, przystosowało do teraźniejszych potrzeb i przejawów życia, ale sonet został sonetem i takim zostanie na zawsze. I zawsze będą poeci: „w obca formę zakuwać swoje cierpienia...” (Słonimski, „Sonet o sonecie”), myśli, marzenia i zachwyty.

Przy opracowywaniu niniejszego artykułu posługiwaliśmy się: Wójcickim, Łosiem, Galewskim, antologiami, tomikami sonetów i utworami zebranymi”.

Białystok, dn. 26.X-1931 r.

A. J. B.

Już idą pierwsze dni jesieni...

Już idą pierwsze dni jesieni,
Cisza zasiada w polach, gajach
I głog się wszędzie już czerwieni
Przy starych krzyżach na rozstajach.

Słońce przestaje już grzać silnie
I świat się cały wkrótce zmieni,
Więc czas do pracy wziąć się pilnie.
Już idą pierwsze dni jesieni...

Gromada ptaków wdal odlata,
A nam tak bardzo żał przestrzeni,
A tak nam jeszcze żał jest lata—
Już idą pierwsze dni jesieni...

Już idą pierwsze dni jesieni,
A my za niemi krok za krokiem
Weseli! silni! opaleni
Stajem przed nowym, szkolnym rokiem!

J. D. III m.

Nasze wrażenia z wycieczki do Tatr.

Dzień był pogodny i ciepły! Wiatr lekko kołysał trawy, lany zboż, leciał nad polami zieleni, poukładanej w przeroźne wzory z tysiąca barw, igrał z gałązkami wierzb i sosen. Wychyliłem się z okna i przypatrywałem się krajobrazowi krakowskich pól i lasów. Gdzie niegdzie ukazywały się domki czerwone w cieniu rozłożystych sadów. Wszystko razem sprawiało wrażenie mozaiki, posuwającej się jak w kalejdoskopie. Stojąc przy okienku, mimowoli spojrzałem na p. Machaya. Na twarzy jego malowało się wielkie zadowolenie. Z zadumy zbudziła mnie uwaga p. Profesora: "Patrzcie, chłopcy, to jest Kałwarja-Zabrzydowska!" Oczom naszym ukazał się piękny widok: małeńki kościółek na górze zieloności, zdolu wyglądającej jak wysepka na oceanie pól... Posyapało się moc uwag i wykrzykników; nawet Heniek, który dotychczas drzemał, zadecydował, "że to śliczna miejscowości!"

Jedziemy! Pociąg leniwie się posuwa, dyszy, sapie waląc kłębami dymu.

Jesteśmy w pięknem węźlebieńiu. Z obu stron otaczają nas crzawa, tworząc piękny tunel. W przedziale robi się mroczno. Rozmowom i śmiechem naszym towarzyszy ciągły, monotonny türkot "no i gdzie jesz-cze, no i gdzie jesz-cze, no i gdzie jesz...cze!" Okolica staje się więcej urozmaicona, poszarpana i górzysta; pagórków cora więcej, wznoszą się, i opadają; w dolinach zboże lekko faluje. My zaś, posuwając się naksztalt węża sunącego w dal, od czasu do czasu widzimy całe szmaty pól, zdala rysujących się dość równą powierzchnią, poczem krajobraz znowu ginie przywalony wysoką ścianą warstwicy. Co chwila wyłania się nowy widok, który ledwie się ukaże, znika znowu z oczu, pozostawiając chwilowy obraz w pamięci.

Jedziemy weseli, uradowani. Niektórzy opowiadają sobie zabawne "kawały", częstując się nawzajem cukierkami, co chwilą wybuchają salwy śmiechu, to znów jakaś piosenka zadźwięczy... Tylko ciągły türkot maszyny zwalniającej swój bieg "czy, na-le-wo, czy na-pra-wo" oznajmia nam i przypomina, że zbliżamy się do celu. Krajobrazy kładą się wolniej, coraz wolniej—wreszcie stoimy... "Patrzcie, chłopcy, to już Beskid-Zachodni", woła ku ucieczce wszystkich p. Machay "a tam widzicie?—Babia-Góra!"

Całe "bractwo" zaczęło się cisnąć do okien, gdzie kto mógł.

Słychać nawoływanie „kto widział, niech się odsunie!... Zaciekawienie wzrasta. Przy oknach tłok! Słychać śpiew „Hej, w góry, miły bracie, tam swoboda czeka na cie! Tymczasem lekko zarysowany Beskid, pokryty pasemkami białego śniegu, złany z chmurkami przesunął się i zniknął z oczu naszych. Ciekawość się potęguje! Ławki puste!

Jesteśmy pod silnym wrażeniem pięknego krajobrazu. Sprawy codzienne zdają się być poza nawiąsem naszej światomości. Wesoły nasz nastrój zostaje zamącony przykrem zdarzeniem: w czasie biegu pociągu wypadło z okna wagonu małe dziecko. Ale wiadomość, że dziecko całe i zdrowe oddane matce, przywraca dobry humor.

Przejechaliśmy stację Skawce. U stóp pociągu Skawina. Ponad zielonością krzaków i drzew słońce ostatniemi blaskami oświeca świat.

Od strony północnej wysuwały się cienie mroku, aby zgasić ostatnie blaski czerwonej tarczy zachodzącego słońca...

Pociąg mknie wśród mroku, przecinając olbrzymie ściany skał poszarpanych, szczeliastyh, porosłych mchem, gdzie niegdzie krzakami. Dopiero gdy księżyc wypłynął na ciemną tonie nieba, zobaczyliśmy jakieś złamy skalne, powyginane w fantastyczne kształty, oświetlone czerwoną, potężną tarczą wschodzącego księżyca. Wszystko miało jakiś niewysłowany urok pełen tajemniczości, ciszy i zadumy.

Zakopane!

Niewysłiona moc i tęsknota wżarła się w serce... Tak zatopieni we własnym chaosie myśli i wrażeń postępowaliśmy długim sznurem po ulicach Zakopanego...

Księżyc tylko ciągle zdawał się przyjaźnie uśmiechać, oświetlając nieprzebyte zwały olbrzymich głazów...

Kurs V męski.

Przebudzenie

(kartka z pamiętnika)

I

Był wieczór... Fletni dźwięk pastuszej
Pływał na łąk dalekich rosły,
Szła święta cisza przez niebiosy
I lśniąca, weszła do mej duszy.
Wszystkie najmilsze gry dziecięce
Nagle mi zbladły i zmalały
I utonęłam słuchem całym
W tym śnie,—w tej ciszy—w tej piosence...

II

Był wieczór... Niskie, gorejące
Pogodnie zachodziło słońce
I zgasła tarczy swej połówka
Chowało się za dal liljową,
Co nad łąkami i nad rzeką
Roztoczą słała się szeroka.
Zaczernione słońca oko
Mrużyło się pod chmur powieka,
A rzęs firanki jako strzały...
Wachlarzem złotym promieniały...

III

W zachodzie krwawej aureoli
Niby ofiarnych świec lichtarze,
Wyolbrzymiały w chmur pożarze,
Wyrastał czarny rząd topoli.
A zaczernione zorzą jodły
Piętrzyły się wysoką ścianą
I kryjąc w cieniu twarz rumiana,
Wieczornym zmierzch za sobą wiodły...

IV

W onej godzinie objawionej
Ogromnym stał mi świat kościołem
I jaśniął płomienistem kołem
I dzwonił w zmartwychwstania dzwony.
W onej godzinie przedwieczornej,

W onych płomieni zawierusze,
Zachwytem cicha i pokorna,
Zrzuciłam zmyśli ciężkich brzemię
I pokochałam wtedy ziemię
I otworzyłam młodą duszę...

J. B. II ž.

Spotkanie. (z wycieczki)

Był to ostatni dzień naszego pobytu w Krakowie, z rzędu czwarty. Przez cały ten czas promienie słoneczne tak nas dobrze ogrzewały, żeśmy je chwilami aż przeklinali. Zresztą nic dziwnego, gdyż, mając poza sobą tygodniową włóczę po przepięknym i starożytnym grodzie, czuliśmy się pomeczęni i wyczerpani ciąglem chodzeniem, patrzeniem, nieustającym gwarem ulicznym i gorącem.

Jak nam pragnienie dokuczało, może świadczyć chociażby fakt, że z jednej wytwórni napojów „wysokowych” wypiliśmy wszystką wodę sodową. Z przyjemnością też zatrzymywaliśmy się w kościołach, gdzie był upragniony i błogosławiony chłód.

Na dziś przypadał Wawel.

Po półgodzinnym marszu byliśmy na miejscu i od razu skierowaliśmy się do katedry. Nie byliśmy pierwsi. Opołu przed głównym ołtarzem stała już jakaś grupka ludzi różnej plici i wieku.

Przedwyszyskiem zwrócił moją uwagę strój kobiet.

Wszystkie były ubrane jednakowo i skutkiem tego tak podobne do siebie, że trzeba było dobrze się przypatrzyć by móc odróżnić jedną od drugiej. Każda miała na sobie długą, sięgającą aż do ziemi, kolorową w pasy spódnicę, białą bluzkę, białą chustkę na głowie, zawiązaną na „babkę”.

Mężczyźni natomiast wyglądały na dość zamożnych robotników fabrycznych, gdyż ubrania ich były z cienkiego materiału, przeważnie czarnego i jedynie tylko mocne buty z cholewami wskazywały, że to są wieśniacy.

Podeszłem bliżej, by się im lepiej przyjrzeć.

Twarze niewiast delikatne i bielutkie, z orlemi ładnemi noskami wyraźnie odbijały od wysokich i muskularnych na brązowo opalonych mężczyzn, między którym stało też kilku wyrostków, ubranych podobnie.

Zarówno kobiety jak i mężczyźni, a nawet i dzieci byli bardzo poważni i zdawało mi się, że smutni.

Wzrok skupiony i pełen blasku zdradzał silne zainteresowanie, zdawali się pochłaniać wyrazy wychodzące z ust przewodnika (którym był, jak się później dowiedziałem, akademik).

Kto to może być? — zapytywałem siebie. Lecz nie mogłem dłużej nad tem się zastanawiać, gdyż musieliśmy zejść do grobowców, a tam, mając tyle rzeczy godnych widzenia, zapomniałem, o czem przed chwilą myślałem.

Gdyśmy wrócili z podziemi w katedrze prawie nikogo nie było.

I prawdopodobnie byłbym na zawsze zapomniał o tej niezwykłej grupie ludzi, gdyby nie dziwny zbieg okoliczności, który sprawił żeśmy się spotkali na jutrz w Wieliczce.

„Patrzcie, ta sama wycieczka, którą widzieliśmy wczoraj na Wawelu”!

Ale skąd? Co to za stroje? Przecie nie łowickie, ani też krakowskie. Te i tym podobne pytania zadawaliśmy sobie wzajemnie. Nagle wpadł wszechwiedzący Tadzio i z miną bardzo poważną rzekł, wskazując oczami na grupę, stojącą w głębi sali: „To są polacy ze Śląska niemieckiego”.

A...a... było ogólne zdziwienie. I zaczęła się dyskusja między kolegami na temat Ślązaków.

Ach... więc to nie są ludzie z Polski? I znowu stanęła mi w oczach grupa ludzi z dziwnym smutkiem w oczach i powagą w całej postaci ze skupieniem słuchająca słów przewodnika.

Zacząłem rozumieć ich smutek.

Lecz piękne sale, cudowne ołtarze, długie korytarze, czarne słone jezioza i inne bogactwa Wieliczki pochłonęły z tym razem moją uwagę. Dopiero po kilku godzinach zwiedzania zatrzymaliśmy się w olbrzymiej sali teatralnej i tu, mając chwilę wolnego czasu, a widząc przed sobą smutnych Ślązaków, postanowiliśmy im zrobić niespodziankę i zaśpiewać śląską piosenkę. Chcieliśmy pokazać, że Śląsk nie jest nam obcy i że się nim interesujemy.

Zaśpiewaliśmy „Oj jozioro” na cztery głosy. „Słicznie”, powiadają Ślązacy, „ale to cbyba nie po polsku” i zaśpiewali nam swoją. Zaczęły kobiety bardzo miłemi sopranami, potem przyłączyły się i męskie głosy.

Naprawdę słicznie śpiewali. Zaczeliśmy bić brawo.

Lecz, twarze naszych rodaków z Niemiec nie rozesiły się, skupili się tylko bliżej i zaczęli nową piosenkę, smutną, jak oni sami, o niedoli ciemięzonego ludu, o próbach wyzwolenia, o walce o każde słowo polskie.

Nastrój był bardzo poważny, czuliśmy cicha skargę braci, ale też czuliśmy swoją bezradność i niemoc. Staliśmy cicho zasmuceni i zasłuchani.

W tem zabrzmiała nowa pieśń „Serdeczna Matko”. Zaczeli ją Ślązacy. Kobiety powstawały, mężczyźni popodnosili głowy.

Porwani urokiem chwili przyłączyliśmy się do nich i popłynęła po sali pieśń nasza, pieśń Polaków, pieśń potężna jak dzwon. Gdy ostatnie tony pieśni zamilkły, zrobił się ruch na sali. Kobiety płakały, mężczyźni się rozmawiali. Nastąpiło serdeczne zapoznanie. I oto stała się rzecz dziwna: z dwóch wycieczek: jednej ze wschodu, drugiej z zachodu powstała jedna, bliska sobie jak rodzina. „Ta pieśń nas łączy”, wołały Ślązaczki.

„Póki ona istnieje, jesteśmy wszyscy braćmi. Polakami. To jest nasza broń, o którą rozbijają się niecne plany Niemców”, (ale to już mówili ciszej i oglądając się). Zapytywani przez nas o stosunek Niemców do Polaków opowiadali smutną prawdę: Niemcy trzymają ich żelazną ręką, wszelkie objawy polskości są prześladowane. Dzieci ich prawie nie umieją po polsku, gdyż nawet w domu rodzice nie mają prawa mówić doń ojczystym językiem, a jeżeli, które z dzieci umie trochę, to trzeba zawiadzać tylko głębokiemu patriotyzmowi ojca lub matki.

Gdy przed rozejściem zaśpiewaliśmy rotę, jedynie kobiety, jako więcej uczuciowe, nie mogąc się już pohamować, pozrywały chustki z głow i powiewając niemi, a zazem płacząc, śpiewały, natomiast mężczyźni wcale nie śpiewali, ledwie czapki pozdejmowali, a niektórzy poprostu uciekali w głąb sali, by nie być świadkiem tego, czego z całego serca pragnęli; a dlaczego? Oto dlatego, by nie stracić zarobku, by nie ściągnąć prześladowania na siebie, dzieci, na całą wieś.

Emil Radziszewski.

O pieśni!

Niech cię piosenka już nie słyszę,
Gdy dochodzisz z krańca świata,
Bo przy twoim smętnym tonie
Do mej duszy coś przylata...

Na me chłodne, białe czoło
Kładzie smutek zadumania...
I na sercu niewesoło...
Hej! te grania i śpiewania!

Lecz dlaczego biegnę w pole,
Gdy się pełne kłosy chwieją?
I dlaczego lgną do ludzi,
Którzy śpiewać wciąż umieją?

I dlaczego takie chwile,
Gdy piosenki wokoło brzmiały,
Mam w swem sercu i w pamięci
I mieć będę żywot cały...

B. Mikołajewska IV ž.

Wspomnienia z wycieczki do Wilna.

W końcu roku szkolnego 1930/31 kurs czwarty męski urządził wycieczkę do Wilna.

Szybko mijają stacje, jakieś samotne domki, całe wsie, pola i lasy.

Naraz rozlega się krzyk: „Jezioro! patrzcie, jakie wielkie jezioro!”

Wszyscy skoczyli hurmem do okien, ale za chwilę wrócili na swoje miejsca, gdyż jezioro skryło się za lasem, jakby nie chciało, aby je widziano.

I znowu spokój zapanował; niektórzy zcicha zanucili piosenkę, inni znów zajadali w najlepsze swoje specjały, a jeszcze inni rozmawiali ze sobą lub z p. Wychowawcą i z p. prof. Muszyńskim. Spiewać głośno chórem nie mogliśmy, gdyż w wagonie znajdowali się i inni podróżni, którzy sobie tego nie życzyli.

Okolica coraz się zmieniała, a im bliżej Wilna, tem stawała się wynioslejsza i bardziej zadrzewiona.

Ponary.

Oto wielka góra zdaje się nie do przewyciężenia, a w niej ciemny tunel, w który powoli wsuwa się pociąg. Pozamykałyśmy okna i jakaś groza zapanowała w wagonie, wszędzie ciemno tak, że nawet nie widać kolegi siedzącego obok. Trwało to jakieś półtorej minuty i znowu ujrzałyśmy świat Boży, ale o wiele wspanialszy. Po obu stronach toru ciągną się wysokie góry porośnięte drzewami i roślinnością, oraz niskie doliny, w których rozłożyły się małe wioski i niewielkie zagrody wieśniaków.

Nareszcie jesteśmy w Wilnie.

Nad miastem górują wieże kościelne, góra Zamkowa i góra Trzykrzyska, a prawie w środku miasta znajduje się katedra. W Wilnie zwiedziliśmy wiele kościołów, uniwersytet im. Stefana Batorego, stację radiową nadawczą i wiele, wiele innych zabytków. Na szczególną uwagę zasługują: kościół św. Piotra i Pawła na Antokolu, wspaniale ozdobiony rzeźbami, katedra posiadająca bogaty skarbiec kościelny, oraz kaplica M. Boskiej Ostrobramskiej z cudownym obrazem Najświętszej Panny, z setkami wot, świadczących o doznanych cudach u Jej stóp. Na ulicy przed kaplicą klęczą kobiety, mężczyźni i dzieci, a wszyscy przehodzący tamtędy idą z obnażonimi głowami bez wzgledu na wyznanie.

Wszędzie, gdzie było to możliwe, szkicowaliśmy różne ciekawsze zabytki.

Kilku kolegów wybrało się do kościoła przy Ostrej Bramie, aby coś naszkicować. Ale tu spotkał ich przykry zawód, bo oto przyszedł zakrystian i oznajmił, że rysować tu nie wołno, chyba za specjalnym pozwoleniem ks. proboszcza. Musieli więc biedacy iść do ks. proboszcza z prośbą o zezwolenie na szkicowanie. Zezwolenie otrzymali i wykonyczyli swoje szkice.

Tego, co działo się zwykle w schronisku przed spaniem, nie będę opisywał, bo nie potrafiłbym może tak dokładnie wszystkiego uwydatnić.

Wspomnę jeszcze o naszej wycieczce z Wilna do Zielonych jezior i do Trok.

Do Zielonych jezior jechaliśmy częściowo statkiem Wilią, a częściowo szliśmy piechotą. Gdy się patrzy na te

jeziora, to woda wygląda zupełnie zielona, ale po wzięciu do ręki jest najwyklejszą wodą bez żadnego zabarwienia. Na jeziorach urządzyliśmy przejaźdżkę łodziami rybackimi i kapaliśmy się. Według opowiadań tamtejszych ludzi w niektórych miejscach głębokość dochodzi do czterdziestu pięciu metrów.

Zwiedziliśmy również słynną Kalwarję, ale dziadów kalwaryjskich nie widzieliśmy.

Pod wieczór wróciliśmy do Wilna.

Nazajutrz udaliśmy się pociągiem do Landwarowa, a potem pieszo do Trok.

W Trokach oglądaliśmy ruiny zamku i kościołów. Tu należy wspomnieć o bardzo miłym przyjęciu nas przez koleżanki seminarium trockiego, oraz o strasznej podróży po jeziorze. W tym czasie była okropna burza, a my chcieliśmy koniecznie dostać się na wyspę, na której znajdują się ruiny zamku. Podróż to była niebezpieczna, bo głębokość jeziora dochodzi aż do czterdziestu ośmiu metrów, to też prawie wszyscy bali się bardzo i siedzieli w łodziach zupełnie spokojnie.

W seminarium przyjęto nas bardzo serdecznie i gościnnie; urządzono nam krótką zabawę taneczną, prześpiewaliśmy wspólnie i oddzielnie szereg piosenek, wreszcie pożegnaliśmy gościnne koleżanki i wróciliśmy do Landwarowa, aby stąd udać się do Białegostoku.

Wycieczka ta była bardzo przyjemna i chociaż pogoda nie dopisywała, jednak wszyscy byli bardzo zadowoleni i miłe wrażenie pozostanie na długo w naszej pamięci.

J. K. IV m.

* * *

Jakże miła jest dłoń przyjaciela
W każdej życia minucie—godzinie...
W chwilach smutku, radości, wesela
I choć wiele, wiele lat upłynie
To uczucie, tak święte w młodości,
Nie zginie w pyle zapomnienia,
Będzie świecić w szarości istnienia
I rozpalać iskry żywotności!

Jakże błogo, gdy swych wrażeń brzemię
Dzielisz szczęśnie z przyjaciela myślą.
Staje ci się milsze ludzkie plemię...
Jego złości mniej już ciebie cisną.
W sercu jego masz radości źródło,
Które krzepi w chwilach ciężkich, czarnych
I odciąga cię od myśli marnych.
Bez przyjaźni żyć na świecie trudno!

Trzykroć święte uczucie przyjaźni
Niechaj będzie nam w życiu ostoja!
Tem uczuciem będziemy odważni...
Nasze twarze niech innych zmiewolą
Do szukania w świecie bratniej duszy.

J. Kossakowska IV ž.

Ostatnie ognisko obozowe.

Na dużej polanie niezwykły ruch.
Jakieś tajemnicze postacie coś znoszą, układają na kupy, grzebią.

Od strony wsi wysuwają się całe ich szeregi i przylączają się do gromady.

Twarz ich nie widać, bo mrok zapadł, ale pewnie będzie to coś ważnego, bo idą prędko, ruchy mają gorączkowe.

... Ognisko... harcerki...

Cisza. Druchna Oleńka zapala stos chróstu. Błyska płomień, trzaska wesoło, rośnie, drga, bije słupem w niebo, żarem swoim nas ogarnia.

Płynie pieśń: „Płonie ognisko i szumią knieje”, potem wiele innych. „Kaźda twarz się uniesieniem ploni”, szczególnie tych, które dzisiaj będą przyrzekaly wierną służbę Bogu i Ojczyźnie. Druchna Hela zaczyna mówić.

Słowa jej ciche, pełne mocy zapadały w dusze nasze głęboko.

Mówią o bohaterskich czynach naszych poprzedników, o „Cudzie nad Wisłą, „o Orłach”, a słowa jej były tak serdeczne, tak gorące, że w oczach druchenek pokazały się łzy.

Tymczasem ogień silniejszym płomieniem wzniósł się w górę.

Od strony Niemna ustał się szary szereg harcerek. Druchna Oleńka podchodziła do każdej, kładła rękę na wyciągniętem w stronę ogniska ramieniu i odbierała przyrzeczenie. Buchnęła pieśń ślubowania: „Nas nie złamie życia trud..” Pieśni tej słuchało spokojne niebo, utkane srebrnemi gwiazdami, Niemen, który wiele widział, bory sosnowe, ludzie ze wsi no i my—harcerki.

„Przymierzymy was, siostry, do naszego koła z otwartymi ramionami, pojedziemy razem uzbrojone w pancerz, bo mnóstwo trudności piętrzy się przed nami, a słabe jesteśmy bardzo, chwiejemy się za lada przeszkołą i prędko opuszczamy ręce, więc połączmy nasze wysiłki i zwalczmy owe przeszkoły.

Dziesiąta godzina. Modlitwa.

Klekamy wszystkie i powtarzamy słowa Modlitwy Pańskiej, potem śpiewamy „Wszystkie nasze dzienne sprawy”, a na końcu chwila ciszy. Każda z nas skupia rozproszone myśli, przypomina czyny dnia minionego, robi rachunek sumienia.

Ognisko już prawie zgasło... odśpiewałyśmy modlitwę harcerską, prosząc Boga o opiekę, potem hejnal wieczornego... nakoniec padło cichutko hasło „Czuwaj....”

Każda z nas z żarzącego się ogniska wzięła czerwony węgielek, jako symbol jasnych myśli i uczuć, które mają od nas promieniować. Płomień w sercach naszych musi być czysty i gorący, musi przyświecać w drodze, którą kroczymy w czasie służby!

„*Głodomór*”
(z zastępu „*Głodomorów*”)

Z życia drużyn harcerskich.

Dzień 13 września zapisał się w harcerskiej pamięci nadzwyczaj przyjemnie. W dniu tym druchny z naszej Drużyny składały przyrzeczenie. Było ich niewiele, — zato „starych” harcerek i harcerzy „zatrzesienie”.

Przed uroczystością obie żeńskie drużyny umieściły się w jednej z klas Szkoły Ćwiczeń. Z powodu wielkiego „zagęszczenia” nie mogłyśmy śpiewać, — panował tylko wielki chaos, jakiego mury ćwiczeńówki nigdy dotąd nie słyszały.

Potem przeniosłyśmy się do auli, gdzie druhowie przygotowali krzesła i stołki, a sami z niezwykłemi minami oczekiwali, stojąc w dwuszeregu.

Na „rozwiązanie języków” zaśpiewaliśmy kilka pieśni, a potem była rzecz najprzyjemniejsza: druchna Hela, jako uczestniczka Zlotu Harcerzy Słowińskich w Pradze Czeskiej, przeniosła nas, choć na krótko, w inne środowisko—a jednak bardzo bliskie umiłowaniem idei harcerskich.

Dowiedzieliśmy się dużo ciekawych rzeczy, przytem dowoli uśmialiśmy się, zawdzięczając to „zdolnościom językowym” (jak mówi Bronka) i dowcipowi Heli.

Gdy przybyła Druchna Komendantka, nastąpiło przyzeczenie. Stojąc w bratnim kręgu, przezywaliśmy poraz wtóry chwilę, gdyśmy sami głosem drżącym wypowiadali najświętsze słowa...

Po przyrzeczeniu i przemówieniach Hela dalej prowadziła nas szlakiem swej podróży.

Wspominając o zwyczajach, panujących na zlotach, opowiedziała o t. z. „czenczowaniu” — wymianie pamiątek.

Zwyczaj ten tak nam się podobał, że w kilku głowach zjawiły się projekty wprowadzenia go w życie u nas w szkole.

Zastanawiając się nad tem, co wpłynęło na miły nastrój, (bo że takibyli, wszyscy mogą poświadczyć) przekonalam się, że się złożyło na to wiele czynników: jak wieczorowa pora, (Pan Dyrektor pozwolił być dłużej!) dowcip Heli i może to, że były wszystkie trzy drużyny w gromadzie.

Myślę, że na drodze współżycia między drużynami należy zrobić więcej niż dotąd było zrobione.

Było nam tak przyjemnie, — dlaczego więc dotąd oszczędzaliśmy sobie tych „chwili jasnych”?

W tym roku zróbmy inaczej!

Niech brać harcerska u nas w szkole wytworzy naprawdę harcerską atmosferę.

Niech hasło nasze rozbrzmiewa radośnie!

„Czuwaj!”

Irka Kossakowska
V-ta Drużyna Har. Żeńska
im. kr. Jadwigi.

Krótkie wspomnienie.

Piątkowy występ na lekcji śpiewu przyniósł mi tak wielką chlubę, że mógłbym się jej zrzec jedynie chyba tylko na rzecz swego... najgorszego wroga... Przekonałem się niestety, „żem śpiewak nie dla ludzi” (o czem świadczy, stopień w notesie). Tem boleśniej to odczuwam, iż miałem o sobie zgoła inne mniemanie: wierzyłem, że jestem pierwszorzędnym śpiewakiem i że kiedyś będę olśniewał tłumy. Niestety, ten piątkowy piątkowy występ zniweczył moje marzenia!...

Pocieszam się tylko tem, że słuch mój w przeddzień wspomnianego popisu został znacznie przytępiony mimo wolnym „obrażeniem” moich uszu przez kolegę Michasia.

Chcąc uniknąć mającego mnie spotkać „prześladowania” (odpytywania ze śpiewu), poszedłem w piątek, zaraz po pierwszej lekcji do „Dępa” do p. Doktora, z prośbą o piśmienne potwierdzenie kryzysu słuchowego. Pan Doktor postawił mnie przy oknie, włożył mi w ucho jakiś przedmiot, zaś przez drugi krążkowaty przedmiot zaczął lustrować ucho dość długo, szukając w nim tego, czego widocznie tam nie było. Badanie zakończyło się następującą rezolucją p. Doktora: „Nu cóż, oprócz trochę brudu, nic tu więcej nie widzę”. Zaraz na drugiej lekcji (był śpiew) miałem zaszczyst, na żądanie p. Profesorki w obecności całego kursu dosiąść Pegaza i z szalem przejechać się po stopniach gamy g-dur—tam, z powrotem, w góre, wdół, trójskokami; z najścisłszem przestrzeganiem wszelkich zakazanych możliwości, więc od g do as, od c do fis i t. p. Biedna gama po mojej przejaździe była podobna do karykatur, jakie widziałem w województwie...

O, prozo życia i wy, anarchiczne, nieuchwytnie, słuchowe żywioły! kiedyż ostatecznie, ujęte przeze mnie w karby, pozwolicie mi zadowolić własną ambicję, a co najważniejsze—p. prof. Kędzierzawską!!!

P. Fedoren (kurs V).

Melancholja...

(Parodia)

Mam gładkie czoło i pobladłe wargi
I wzrok bezbarwny, głęboki jak nieba,
I z tem mi dobrze, i więcej nie trzeba,
I nie mam żadnej do nikogo skargi.

Mam oczy głębokie jak niebo i mgliste
Mglistością, płytke jak słowa bez sensu;
Mam myśli jasne, rozwlekłe i czyste —
I chowam je w głowie, jak w szafce kredensu.

Kołnierzyk za wielki aż o dwa numery
I muszka skrzywiona, jak uśmiech nieszczery,
Są dla mnie — jak echa bandyckiej afery,
Jak groza — nieznanej, pradawnej Chimery.

Cieszę się z tego jak wielkie niemowlę,
Skrzydlata muszka jest moim uśmiechem,
Za wielki kołnierzyk — mym radości echem
I jestem dziki w tym śmiechu jak Mowgli.

Po co mi kolor, kiedy blade lica
Są echem dawnych, szalonych kolorów...
Ja teraz pragnę cichego księżyca —
Jak prąd — czeluści akumulatorów.

Ubranie moje jest, jak moje życie,
Jak smutne niebo jesiennych zachodów
— I jak poręcze wyszarganych schodów...
A ja w niem idę jak . . . jak na zabicie.

Wszystko jest nędza lecz but najnędzniejszy,
Zęby mu z gęby wyłyżą jak szwaniec,
A jednak wesoły jest ten obszarpaniec
I z wszystkich moich części najśmieszniejszy...

* * *

Rozstanie... rozstanie..! w oczach błyszczą łzy...
Tutaj zostało me całe kochanie
I ty,
O szkoło!

Może już nigdy, jak przedtem, wesoło
Do mnie się wiosną nie uśmiechną bzy...
— Rozstanie !!!

Pójdę i pójdę..., pewno już nigdy nie wróćę,
O, Panie...

A gdy się cicho za tobą zasmucę,
Bzy mi powiedzą, — że już zapóźno!

Wracać zapóźno —

I nigdy zawcześnie . . . !
Tak ciężko zegnać . . . tak strasznie bolesnie . . . !!
A wszystko w jednym tylko słowie —
„Zegnaj!”

Białystok, 10.IV-31 r.

A. J. Brukasz.

K r a w a t.

Długi, jedwabny pasek tkaniny niedbale rzucony na stół wije się w miękkich pieszczotliwych splotach. Jest to krawat harcerski. Jego brzegi w przeznaczeniu równolegle nie występują tu w ten sposób prawie wcale. Wciąż wygiąna się jego wydłużona płaszczyzna, załamuje się wzduż i wpoprzek lub uksztalca się w płynne zakola. Miejscami zatraca się zupełnie szerokość, a widać tylko jeden brzeg lekko zazębiony ukazujący grubość tkaniny. W tem miejscu zaś gdzie się brzegi paska krzyżują powstaje przecięcie płaszczyzny. Po obu stronach przecięcia różne ukazują strony krawata, z których to—prawa jest pozbawiona światła.

Ogólny rozkład taśmy barwowej dałby się podzielić na trzy grupy odcinków: najdłuższy—wykreślony krawędzią zwróconą ku górze a wykazujący się charakterem bardzo lekkiego łuku, skierowanego końcami w głąb obrazu; dwa średnie jako że będące końcami krawata przeto zakończo-

ne frendzłą zwróconą końcami do przodu—leżą płasko, jeden na przedłużeniu drugiego, równolegle względem siebie a względem łuku—pod małym kątem nachylone, są w sumie nieco dłuższe od odcinka pierwszego; najkrótsze odcinki utworzone są przez zagięcia rozrzucone grupami, wewnątrz łuku dwa i jeden na stronie zewnętrznej i przez zakręty leżące na obu końcach odcinka najdłuższego.

Wśród splotów bezładnych, grymańskich, są wolne, puste pola. Zewnątrz leżące mają kształty jakichś ostrych języków, które swe wierzchołki kierują w największe masy taśmy. Jedno wewnętrzne pole wykształcone częścią środkową łuku i końcami zaopatrzeni we frendzle przypomina formę trójkąta rozwartokątnego.

Barwy i formy są owiane lekką tylko przy zmrużonych oczach widzialną mgłą. Głębiej leżące fragmenty są mocniej zatarte a mniej ukazujące szczegółów. Lecz ornamentacja tkaniny występuje zarówno na pierwszym planie jak i na ostatnim. Motywem zaś ornamentu są figury geometryczne, które aczkolwiek wciąż się powtarzają, to jednak tworzą ciekawą, wykończoną miłą całość.

Gdy patrzę na krawat, leżący w cieniu, to zachwycam się jego miękkością barwy i kształtów, puszystością jego frendzli rozpływających się w miękkim, taczowym puchu. Nic wtedy nie widzę takiego, aby najmniejszą choćby zdziałało ochotę do wybicia się z całością czy barwą, czy wzorem, czy to kształtem. Wszystko tu przybrało spokój nie-mal stoicki. Lecz w tem właśnie tkwi piękno, jakiego i słonec nie da, choć oto już się skrada.

— Już wysiąło nikłe promienie i zakłociło spokój. Bo jego promienie, padły na cienkie futerko barwnych, jedwabnych niteczek rozedrgały je. Same zaś jakby spłoszone migotliwym blaskiem poczęły drzeć, rozpalać się i przygasać na przemiany. Aż gdy nie mogły znieść tego, co same sprawiły—pierzchły nagle.

Krótką chwilą ich nieobecności przyniosła znów spokój i piękno dawne, rozlała po przeważającej—czerwonej barwie krawata.

Lecz, cóżto! Znowu promienie dzikie, rozpedzone, przeciążliwe oku, silniejsze niż poprzednio. I w siłę jeszcze rosną. Już stanęły w największej swej potędze — punkt kolumnacyjny już osiągnęły. Ustępować stąd już nawet ani myślą...

A tymczasem na tkaninie wszystko zburzone. Po dawnej miękkości, niemal akwarelowej płynności barw i po tej nastrojowej melancholii—śladu nawet nie pozostało.

Teraz wszystko stoi w iskrach. Barwy oczy rażą swoją jaskrawością niemal krzyczą. A tyle ich się nowych naukały, że i policzyć niełatwo. A wszystkie stoją oddzielone od siebie, każda w swojej granicy. Wzór teraz gwałtownie rwie się z miejsca, w oczy skacze; od szczegółów aż roi się; przez środek paska tkaniny biegnie jakaś rażąca smuga biała; powierzchnia jest teraz cała w chropach, wystąpiła bowiem w świetle przeplatanka nitek.

Wzrok zmęczony nie mogąc ani ustać na miejscu, ani całości objąć—ślizga się, szuka miejsca na spoczynek. Wnet znajduje miękkie, poszarpane i zwichrzone, cienkie i przewiewne sploty, niby barankowe chmury na wiosennem niebie. Tu przywarł chciwie. Nurzą się w rozkoszny i nie-wypowiedzianie barwnym puchu. Do duszy śle radość promienna.

Czerwonemi, pomarańczowemi, żółtemi, zielonemi i fioletowemi barwami frendzli krawata harcerskiego napawał długo wzrok nieruchomy, utkwiony i jakby jakąś przykuty mocą czarodziejską...

Aż się wnet słońce znowu schowało za chmury.

Br. R-ki, III m.

Wycinek z kroniki kursu IV m.

Zamiast wstępu.

Nie będę zajmował czytelników kroniką taką, która by sięgała aż początku roku szkolnego, jakkolwiek, gdybym się na nią zdecydował, znalazłbym tematów dużo.

Zresztą w obecnym czasie zachodzi tyle wypadków najrozmaitszych, że kronika będzie dość bogata i będzie co przekazać potomnym.

20-ty września.

Dziś kurs nasz wystawił na boisko swych najzaciętszych graczy. Uformowały odpowiednie władze dwie grupy: jedną do siatkówki i inną do koszykówki. Popisy za-

częły się od gry w siatkówkę z trzecim kursem. Wynik był taki, że politowanie wzbudzaliśmy w zebranych. Szczególnie p. profesor Rybarczyk docinał na swój sposób.

Lepiej przedstawia się sprawa koszykówki. Odniesliśmy zwycięstwo nad kursem drugim.

22-gi września.

Ten fakt, że członkowie naszej gminy prawie wszyscy mają zajęcia w Zarządzie Głównym „Bratniej Pomocy” i są „urzędnikami”—wykazał dziś swą ujemną stronę. Polega ona na tem, że „proletarjusze” zbyt często muszą dyżurować w klasie, bo warstwa „wyższa” otoczyła się specjalnymi przywilejami, niby murem chińskim i nie mamy z niej korzyści, ani pomocy. Lecz już pomruki niezadowolenia „ludu” dają się słyszeć.

23-ci września.

Niemal wszyscy dziś idziemy na „Wesele” Wyśpiańskiego. Z tą sztuką poznamy się gruntownie zapewne kiedyś w przyszłości. Ale trochę tośmy ją poznali przed owem przedstawieniem, a to przez wykład pani Profesorki i własne czytanie. Szczególnie ciekawemi okazały się stosunki z przed kilkudziesięciu lat w Krakowie, wśród warstw najkulturalniejszych.

To też z ogromną ciekawością, z pałającymi oczami patrzyliśmy na scenę z każdego zakątka rozległej sali; tak z rzędów co najprzedniejszych, jako też i galerji, gdzie już się nic nie słyszy i skąd się nic nie widzi, a gdzie właśnie najliczniej się skupił prawdziwy „proletariat”.

Możność ujrzenia „prawdziwego” poety jak Rydel, lub malarza Wł. Tetmajera tyle w każdym budziło pożądania, że nieczem wydały się zbyt głośne rozmowy gdzieś w mrocznych lożach, mniej przykro wydała się stanowczo za daleka przestrzeń galerji.

Jednak los tych, którzy znajdowali się na galerji, nie był do pozadroszczenia, sami oni zeznają, że dla nich to przedstawienie jest stracone, zarówno jak i kwota wydana na bilet,

24-ty września.

Niektórym „typom” z naszego kursu przyniósł to, co 1-go kwietnia zdarza się jednostkom gapiowatym.

Ponieważ naszą klasę przeniesiono do innej sali, o czym nie wszyscy wiedzieli, więc też nic dziwnego, że wielu zra-

na zastawszy na dawnem miejscu widok, jakby porewolucyjny, błądziło po korytarzu. Szczęściem nie zmieniono miejsca tego, które zajmujemy w czasie modlitwy. Było ono tego poranka tem dla tych zabłąkanych, czem po śmierci dla dusz naszych ma być dolina Józefata.

Ta zmiana naszej „siedziby” na pierwszy rzut oka wydała się niektórym jakby zesaniem na Sybir, jednak bardzo szybko zmienili oni swoje przekonanie. Jeszcze bowiem w tym samym dniu, gdy poznali własności „wygranki” wszyscy jednogłośnie okrzyknęli swoją dla niej sympatię.

Za ponurość i surowość swego wnętrza płaci „wygnanka” swym mieszkańcom pewnością bezpieczeństwa ze strony władz i innymi przywilejami, z których gdzie indziej korzystać nie byłoby można.

25-ty września.

Dziś lekcja muzyki rozerwała szare pasmo naszego uczniowskiego życia. Okazało się, iż tylko nasi muzycy byli zdolni zadowolić wymagania p. Profesora, reszta zaś odchodziła od pulpitów ze smutną miną, z ukosa spoglądając w stronę notesu.

Tylko jedno dodatnie wrażenie odnieśliśmy z lekcji dzisiejszej, a mianowicie przekonaliśmy się, że gdy nieszczęście nawiedzi większość, to nie jest ono tak gorzkie dla poszczególnych jednostek.

26-ty września.

Dziś sprawdziło się przysłowie: „Miłe zlego poczatki, lecz koniec załosny”.

Ktoś „zmaistrował” przy drzwiach klamkę tak sprytnie, że można było drzwi zamknąć, ale, aby je otworzyć, należało użyć jakiegoś fortelu znanego tylko wtajemniczonym. Z tego powodu na każdej przerwie zdarzało się po parę wypadków zamknięcia kogoś w klasie. Należy jeszcze dodać, iż klamka „zniknęła” i wszelkie próby odszukania jej spełzyły na niczym.

Ale po lekcjach stanął p. Dyrektor w drzwiach, tym razem otwartych i wystosował burę całemu kursowi. Skutek jej był zbawienny: klamka, bowiem, została odnaleziona zaraz po wyjściu p. Dyrektora.

Br. Rogalski.

Kronika z życia szkolnego

WRZESIĘŃ.

1.IX. Po wakacjach wszyscy zjechali się wypoczęci, z nową energią zapałem do dalszej pracy.

O godzinie 9 m. 30 udaliśmy się do kościoła na nabożeństwo, aby w imię Boże zacząć rok szkolny.

12.IX Dziś o godzinie 4-ej po poł. odbyło się pierwsze zebranie Zarządu Głównego z następującym porządkiem dziennym:

- 1) Sprawozdanie Komisji Rewizyjnej
- 2) Sprawy bieżące
- 3) Wołne wnioski
- 4) Odczytanie kroniki.

17.IX Odbyła się spowiedź i komunia święta.

22.IX Chodziliśmy do teatru na „Wesele” Wyśpiańskiego. Byliśmy rozczarowani, gdyż sztuka była odegrana nie tak, jakby należało.

PAŹDZIERNIK.

5.X Dziś o godz. 4 ej po poł. odbył się marsz obu drużyn żeńskich (starszej i młodszej), które stawały do Polskiej Odznaki Sportowej.

9.X Dowiedziałyśmy się, że przyjechała pani wizytatorka Zubelewicz. W szkole zapanował ruch nadzwyczajny. Na korytarzach ze wszystkich stron dawały się słyszeć słowa: „teraz do nas przyjdzie p. Wizytatorka”, a na lekcjach nie słuchaliśmy wykładu, gdyż cała uwaga była skierowana na drzwi, czy lada chwila nie otworzą się i czy nie ukaże się w nich p. Wizytatorka i p. Dyrektor. Jak się potem okazało, nie było to nic strasznego, lecz przeciwnie byliśmy bardzo zadowolone i zatrzymywałyśmy Panię w klasie jaknajdłużej.

13.IX Dziś przyjechała p. Borowa i z tego powodu gorączka była większa niż zwykle. Urządzono próbę orkiestry i chóru. Na chórze dostaliśmy pochwałę, że mamy piękne głosy, lecz więcej było nagany za to, że: strasznie przy śpiewie ciągnimy, nie umiemy wytrzymać wartości i nie utrzymujemy się w takcie.

Na zakończenie p. Borowa nauczyła nas pięknego kanału, który się tak podobał, że przez kilka dni każda za-wzięcie śpiewała.

31.IX. Zostaliśmy zwolnieni na dwa dni, które mają być wypoczynkiem.

Część młodzieży pojechała do domu, a część została w Białymstoku.

L I S T O P A D.

3/XI. O godz. 4-tej byliśmy w teatrze na „Slubach Panieńskich”) Fredry.

5/XI. Dziś o godz. 4-tej odbył się pierwszy wykład kursu ogrodniczo - pszczelarskiego, prowadzonego przez p. Gaczorka.

11/XI. Dziś Szkoła uroczyście obchodziła 13-tą rocznicę odzyskania niepodległości Polski. O godz. 9-tej odbyło się uroczyste oddanie czci sztandarowi, poczem hufce wymaszerowały na miasto, aby wziąć udział w defiladzie, reszta zaś młodzieży udała się do kaplicy szkolnej na nabożeństwo.

O godz. 12-tej odbyła się w auli akademja. Na program złożyły się: referat, wygłoszony przez kol. Wydrównę. Potem kol. Drzymulski wygłosił krótkie nawiązanie do referatu, zakończone hasłem: „Po czynu!” Następnie kwartet skrzypcowy i chór.

Na zakończenie, zaśpiewano hymn narodowy „Jeszcze Polska nie zginęła”.

14/XI. Na ostatniej lekcji zebraliśmy się w auli, aby wysłuchać deklamacji p. Rychtera.

15/XI. O godz. 11-tej odbyło się zebranie rodziców, na którym były omawiane sprawy dotyczące naszych postępów i zachowanie się.



ODBITO
w
POLSKICH ZAKŁADACH
GRAFICZNYCH
„DZIENNIK BIAŁOSTOCKI”
LEGJONOWA 1
w
BIAŁYMSTOKU.